

Wp. Emil Ligadłowicz
poczt. Wodowice
Górzei Górnij

Opiacono ryczałtem.

Cena 10 gr.

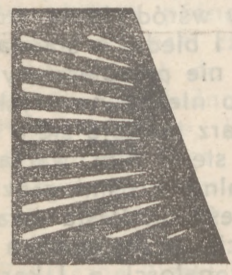
Rok 1.

Nr. 6.

CZĘSTOCHOWA

26-go lutego

1939 roku.



PROMIENI



TYGODNIK SPOŁECZNO - LITERACKI

MELCHIOR WAŃKOWICZ

SIŁA i WOLNOŚĆ

Ze wspaniałej książki Melchiora Wańkowicza: „Sztafeta”, która jest wydarzeniem niezwykłej wagi za zgodą Autora drukujemy jeden z fragmentów.

Dwudziestolecie, które mija, poświęcił naród polski na zdobycie podstawowych elementów, umożliwiających kształtowanie oblicza własnego Polski w następnych latach.

Aby sięgnąć myślą w przyszłość tego nadciągającego nowego dwudziestolecia, należy przypomnieć sobie start, zmierzyć osiągnięcia i zrozumieć przedyspozycje psychiczne Polaków.

Umocnione granice, ustabilizowana waluta, ujednoczone zabory, rozwarty dostęp do morza, stworzony eksport, zrównoważony budżet, korzystne i stabilizujące pakiety polityczne, szybkie kroki ku uprzemysłowieniu kraju i rozładowaniu bezrobocia, wreszcie, odzyskanie etnograficznie polskich terytoriów, oto dorobek pierwszych dwudziestu lat.

Chodzi teraz o to, co z tym dorobkiem zrobimy, ku jakim on posłuży celom?

Przywykło się mówić, że Polska skazana jest na wielkość, ale powinniśmy się starać, aby te słowa nie stały się poetycką metaforą, lecz codzienną świadomością każdego z szeregowych obywateli. Polska jest skazana na wielkość nie tylko przez swoje geograficzne położenie, ale i przez swój wielki przyrost naturalny, przez osiem milionów ukrytego bezrobocia. To przez to należymy do rzędu państw dynamicznych.

Rozpatrując czynniki, które stanowią o powodzeniu dynamiki, widzimy bogactwa przyrodzone, kapitał i człowieka.

Te pierwsze mamy w wyższym stopniu, niż przeciętnie inne narody, tego drugiego nikt nam nie podaruje i musimy się dorabiać, za to na polu trzeciego czynnika, stanowiącego o potęgę i o postępie narodu, możemy własnymi siłami i rozporządzalnymi środkami zrobić nieskończenie dużo.

Nie mówię o oświacie i opiece społecznej — są to rzeczy niejednokrotnie omawiane i zależne w dużym stopniu od pieniądza.

Chciałbym tu mówić o rzeczach pozornie mniej konkretnych, które jednak są konieczne potrzebne dla człowieka w Polsce. Chciałbym mówić o ustroju politycznym, o udziale tego człowieka w sprawie publicznej i o celach nadrzędnych koniecznych, aby ci ludzie w Polsce byli nie przystawioną wiazką rozrzuconych prętów, jeno ich więzią dobrze zebraną i związaną.

Ostatnie wypadki — sprawa litewska, sprawa zaolziańska, spoiły znakomicie tę publiczność, która jakże często czuła się tłumem gapiów, a nie narodem. Szofer taksówki, tragarz na dworcu, robociarz w tramwaju, który przez lata całe używał formy „oni” (to magistrat robi, tamto buduje rząd), nagle, kiedy mu błysnęła przed oczami perspektywa włożenia munduru, kiedy poczył po-

chłaniać gazety, których nakłady zwiększyły się dwukrotnie, kiedy zrozumiał wielką grę o własną skórę, kiedy z zadowoleniem skonstatował, że gra ta skończyła się dla niego pomyślnie dzięki temu, że Polska swoją pracą do czegoś doszła, że coś znaczy — ten szary człowiek zaczął używać zaimka „my” i już tak łatwo się z nim nie rozstanie. Jest to bowiem jedno z najśodszych słów jakie zna mowa ludzka.

Idzie teraz o to, jak go zatrzymać w tym „my”. Słyszymy częste utyskiwania a to na brak salutów narodowego, a to na brak zawołań standaryzowanych, a to na brak ornamentyki propagandowej. Rzecz prosta, wszystko to jest potrzebne, ułatwia życie tłumowi, zbliża go do współdziałania z chwilą. Ale kiedy widzę (niestety tylko na ekranach, odkąd mnie nie wpuszczają do Niemiec) wyreżyserowane na komendę „siege-heil”, urywane wpół okrzyku na gest menagera, ręce wznoszące się z pozdrowieniem na komendę niby w gi-

nicznymi zabiegami Ministerstwa Oświaty i Ministerstwa Opieki Społecznej, zrobiliśmy w istocie najmniej. Może teraz, kiedyśmy okrzepli, kiedyśmy poczuli, że coś znaczymy, rusza ta sprawa.

Jakież mają być te drogi, którymi pójdziemy w nowym dwudziestoleciu?

Nie widzimy ich, ale patrząc w przeszłość, przyglądając się człowiekowi w Polsce, widzimy ich kierunek.

Polska forma bytu politycznego jest trudna nie tylko przez położenie geograficzne, przez dynamikę ludności, skazujące na imperializm, ale jeszcze i przez charakter narodu, zamilowany w wolności, ale i przez spuściznę przeszłości, wytwór tego charakteru narodowego, która dała Polsce nadzwyczaj subtelny, nadzwyczaj precyzyjny ale i nadzwyczaj trudny ustrój polityczny.

Szkoła Krakowska stworzyła w swoim czasie surowe rekolacje, przez które z pożytkiem duchowym przeszedł naród. Szkoła Krakowska sprawiła, że nie kiwaliśmy się nad kolebką przeszłości

od 1505 r., jak przyznaje sam Bobrzyński, nestor szkoły krakowskiej, mieliśmy ugruntowany parlament, o którym nie śniło się nikomu poza Anglią. Że król nie był nikim innym jak obieralnym dożywotnio Prezydentem, że najwyższe urzędy były obieralne, że Sejm obradował jawnie w pełnym świetle opinii, że byliśmy państwem jedynej w swoim rodzaju ulegalizowanej rewolucji (konfederacji), że czterokrotnie, mieszkając pośród świata jęczącego w prywatnym władaniu królów, wynosiliśmy na trony własnych obywateli, że przez osiem wieków istnienia, przez czterdzieści panowań, nie potrzebowaliśmy się kazać królobójstwem, że byliśmy ucieczką prześladowanych, że wytworzyliśmy system „łączenia miłością”, jak chce Unia Horodelska, że system ten, poczawszy od inkorporacji Mazowsza po lenno pruskie, po włączenie Inflant, aż wreszcie do Unii z Litwą — nigdy nie zbankrutował sam w sobie, że ulegał obcym jeno naciskom.

Ten system wolności i miłości dawał inam wspaniałą siłę w czasie rozkwitu — był powodem naszego upadku w czasie rozprężenia. To był — kosztowny system. Ale że nie należy go identyfikować z anarchią, jak to robiła szkoła krakowska, powinniśmy rozumieć my, obywatele odradzającej się Polski, tak, jak to rozumiała i odradzająca się Polska 18-wiek, kiedy kanclerz rosyjski Bezborodko, obserwując dzieło konstytucji trzeciego maja, wyrażał obawy „rozprzestrzeniania się polskiej zarazy”.

Prusak z ducha i ze sposobu myślenia, feldmarszałek Moltke, pogromca Francji w 1871 r., pisząc dzieło o Polsce (cytuje za rękopisem Wincentego Lutosławskiego, który ma ukazać się w druku) nie może się nadziwić, że twór o tak wybiegających przed współczesność formach życia politycznego mógł się utrzymać tak długo wobec zachłannego prymitywu sąsiadów. Pruski generał, podziwiając ducha wolności, cementującego Rzeczpospolitą Polską, jest jednak zwolennikiem innej metody tworzenia dziejów — metody pięści. Ale czuje w tej polskiej metodzie wielkie możliwości twórcze i wykrzykuje ze zdumieniem „A jednak podziwu godne cnoty Polaków pozwoliły im osiągnąć potęgę. Polska była jednym z największych ucywilizowanych państw Europy”.

Oto takie imponderabilia przeblyskują Polsce nowopowstałej przez pomrok dziejów. Aby je wcielać w życie, trzeba mieć silną rękę, bo na żadnym ustroju tak łatwo nie zagnieździ się anarchia jak na polskim. Anarchia tak parszywego gatunku, że trzeba by na nią wynaleźć jakieś inne słowo. Anarchia — to bunt, to oszalały tłum, niosący na spisach ucięte głowy, to krew i barykady. Polska anarchia, zrodzona nie z buntu przeciw uciskowi, a z przedziwienia wolnością, to lepki, śliski ekskrement pełen nadkwasów z nieprzetrawienia, nadkwasów, przeżerających

dokończenie na str. 2-ej

MARJA JASNORZEWSKA-PAWLIKOWSKA

Siła i sukces

*Kto chce zdrowia i siły, niech stanie pod dębem
I wdycha rozrost mocy tego lwa drzewnego,
Atmosferę męskości, dębowej, odrębnej,
Którą wjeści szanują, której wiosny strzegą..*

*A kto chce powodzenia, oklasku, pochwały,
Niech wdycha sukces kwiatów, które nie chybają
Które w historję świata, w ludzkie sny, wplątały
Wieczne przeboje: różę, bzy i lilję białą..*

mnastycę szwedzkiej i kiedy uprzytamniał sobie zażenowane uśmiechy tłumowi w czasie dni zaolziańskich, niezgrabnie podawane kwiaty, usta śmiejące się, podczas kiedy z oczu lży płyną — dalibóg nie zazdroścę tak dalece reżyserom niemieckim. A już bynajmniej bym nie chciał, aby ta gimnastyka weszła w nasze myślenie, w naszą ideologię, w nasze ukochania. Trudno. Każdy naród jest jaki jest. Gleichszaltowanie manifestacji — najwyższej spowodowałoby, że jeden z drugim Polak parskałby śmiechem, że z niego wyczyniają małą i coś by tam machał na odwrót. Gie chszaltowanie w polityce miałyby smutniejsze rezultaty. Nie możemy kopiować wzorów niemieckich czy moskiewskich, czy włoskich. Tesknimy do jej siły, jaka przez to zgleichszaltowanie tamte społeczeństwa osiągały, bo wiemy, że zginiemy, jeśli nie będziemy silni. Ale liczymy się z polskim zamilowaniem wolności i widzimy, że nie ma innej drogi jak kontynuować tę, którą szedł Piłsudski: wąską granicą pomiędzy siłą państwa, a wolnością obywatela.

Na tym polu — wychowania obywatela, troski o człowieka, poza mecha-

jak Hiszpanie, że nie deklamowaliśmy nad nią jak Grecy, że nie szukaliśmy w niej rozgrzeszenia, do czego namawiała nas poezja romantyczna, skoro zobaczyliśmy w tej przeszłości tyle grzechów i win. Szkoła Krakowska kałała nam pochylić się uważnie nad rzeczywistością, i — rzecz zniemienna — Szkoła Krakowska, acz stworzona przez „panów i kapłanów”, była ojcem późniejszej polskiej demokracji, nie tej romantycznej demokracji Towarzystwa Emigracyjnego, ale tej demokracji wywodzącej się z epoki pozytywizmu ze swoimi kasami, kółkami i spółdzielniami.

Musimy przeskoczyć krakowską szkołę, pod której wpływem przemożnym znajdujemy się dotąd. Pokajaliśmy się, wyszliśmy z kościoła i chcemy żyć i radować się życiem.

Chcemy się cieszyć, że kiedy świat tonął w grubej barii, nasz przywilej czerwiniński w 1422 r. zabraniał konfiskat bez wyroku sądowego. W 1430 r. uznawaliśmy już zasadę „Neminem captivabimus nisi jure victum”. Że już w szesnastym stuleciu byliśmy bezpieczni, że nikt rewizji nie dokona w naszym domu bez sądowego wyroku. Że

B. P.

ZYGMUNT MARKOWICZ

Założyciel i Członek Zarządów Spółek Akcyjnych Gnaszyńskiej Manufaktury, Gnaszyńskich Zakładów Ceramicznych, Gnaszyńskiej Fabryki Tapet i Papierów Kolorowych zmarł w kwiecie wieku.

W Zmarłym tracimy niestrudzonego przewodnika oraz najszlachetniejszego i najzacieśniej człowieka

Rada Nadzorcza i Zarząd

Spółki Akcyjnej Gnaszyńskiej Manufaktury Gnaszyńskich Zakładów Ceramicznych S. A. Gnaszyńskiej Fabryki Tapet Papierów Kolorowych S. A.

dokończenie ze str. 1-ej

cyh wszystko. Mosdorf pisze, że Polskę upadku wziętą w monopol przywilej szlachecki sprzymierzony z żydem. Czy ta polska anarchia nie jest czasem wytworem tej spółki?

Aby ustrzec obywatela od nadkwasów wolności, należy by miał pełne ręce roboty i aby ta robota czynna i logicznie tkwiła w sensie sprawy publicznej. Wzory niemieckie przeszczepione na nasz grunt stworzyłyby najwyższe bezideowy totalizm.

Ale uświęcone metody 19-go wieku, zbudowane na tradycjach walki z absolutyzmem, na rozbudowanym systemie kontroli — dla polskiego charakteru, niesforenego, odśrodkowego, jeśli go nie łączy wspólne ukochanie — wydają się niebezpieczne.

Jakaż tu ścieżka wiedzie między siłą i wolnością?

Ostatnie wypadki wskazują, że potrzeby społeczne tego obywatela bardziej jeszcze, niż udział w rządach, wzięły żywy udział we współdziałaniu.

Skontrolujemy swoje przeżycia tych dni schyłku dwudziestolecia, kiedy byliśmy jedną nogą w strzemienu. Czy nie uważaliśmy, że słodycz spokoju, pełną świadomość swojej potrzeby osiąga właśnie porucznik, dopilnowujący, czy rzemienie są należycie posmarowane? Natomiast rozmowy po kawiarzach nie syca?

Człowiek w Polsce przede wszystkim chce mieć swój osobisty, bezpośredni i sensowny udział w dziele publicznym. Spełnianie obowiązku wyborczego jest tutaj pożywką, lecz nie jest wystarczającym pokarmem. W wieku 19-tym mówiło się o prawach obywatelskich i

o obowiązku pracy. W wieku 20-tym, który zbył strachów przed absolutyzmem, a nabył wielkiej troski o chleb powszedni, o zdrowie państwa, o bezpieczeństwo jego granic, należy sprawę odwrócić i mówić o obowiązkach obywatelskich i o prawie do pracy pożytecznej.

Dlatego chciałbym widzieć ustrój Polski oparty na sprężystej i skoncentrowanej władzy, której kontrolowanie będzie naturalnym obowiązkiem powołanych ku temu instancji, przede wszystkim jednak, na szerokiej i świadomej współpracy sensownie użytych obywateli, mających poczucie, że ta wspólpraca jest ich naturalnym i niezaprzeczalnym, lecz równocześnie szczególnie cennym prawem.

Ten łańcuch prac, o którym była mowa w książce, witamy radośnie nie tylko dlatego, że nam dają chleb. Witamy je radośnie, bo nam dają — wolność. Wiemy, że ta polska wolność jest trudną wolnością i niezapłaconą, pełną ceną pracy, daje słabość i anarchię.

Po raz drugi dziejowych błędów nie powtarzamy: nie będziemy pragnęli swobód bez pracy.

Wolność i siła! Oto hasło, pod którym rozpoczynamy drugie dwudziestolecie bytu niepodległego. Nie jest to łatwe zadanie. Nie stworzy go wymysł jednostki. Nasz ustrój wyrośnie z całego narodu. Ten ustrój rośnie jak drzewo. Pracą codzienną ułatwiamy jego wzrost — aż zachwyconym oczom naszym ukaże się pewnego dnia rarys korony, która rozwęła wszystkie listki. Melchior Wańkowicz.

Jak Kazimiera Dąbrowska malowała Papieża...

Na Via Leonardo da Vinci w Rzymie, w cichym francuskim klasztorze St. Joseph de Cluny mieszka Kazimiera Dąbrowska, słynna malarka miniaturzystka.

„La fine enobile artista della miniatura” — jak ją nazwał jeden z krytyków włoskich — jest dzisiaj bezkonkurencyjna w swym zawodzie. Drobna jak figurynka z sewskiej porcelany, o rączkach tak małych, filigranowych, że się dla nich specjalnie zamawia rękawiczki, posiada jednak jakąś niebywałą energię i zapał twórczy, bo od szereg lat, w warunkach trudnych i ciężkich, wzbogaca własne i cudze zbiory portrecikami kunsztownymi. Wyszukuje przeważnie tematy niecodzienne, interesują ją ludzie niezwykli, przerastający otoczenie. To też w „galerii” p. Dąbrowskiej figurują takie postacie, jak Pius XI, kard. Pacelli, don Luigi Perosi, Nunciusz Marmaggi, generał zakonu Jezuitów Ledóchowski, zwany „szarą emnencją”, siostra jego matka Urszula Ledóchowska, założycielka kilkudziesięciu domów zakonnych, szkół i przytułków, arcybiskup Neapolu kard. Ascalesi, jeden z kandydatów do tronu papieskiego Podczas pobytu w ojczyźnie, Dąbrowska zrobiła portret marszałka Piłsudskiego i wielu wybitnych osobistości.

Od lat dwóch przebywa w Rzymie,

gdzie wiele życzliwości okazał jej znany mecenas sztuki kard. Pacelli. Jemu to zawdzięcza, iż dwa lata temu, pod czas ciężkiej choroby Ojca Świętego, mogła uwiecznić jego podobiznę. Pius XI nie pozwał jej, lecz zezwolił, by podczas wspólnych „małych” audiencji, urządzanych dla 15 osób, robiła szkice, które następnie miały posłużyć do wykonania portretu Pani K. Dąbrowska wzięła udział w pięciu takich audycjach. Opowiadała ona, że wykańczała portrecik Papieża w dramatycznych okolicznościach: Ojciec Święty zapadł ciężko na zdrowiu, tak że lekarze nie rokowali już żadnych nadziei. Uprzedzono malarkę, iż w chwili zgonu Ojca Świętego rozlegną się wszystkie dzwony kościelne.

— Ileż to usłyszałam głos dzwonu, przechodził mnie dreszcz trwogi — zwierzała się później. — Było coś mistycznego w tym utrwalaniu podobizny wielkiego człowieka, który miał, według ludzkich przewidywań, lada chwila odejść ze świata. Zdawało mi się, że robię portret oddalający się, ginący we mgle zjawy.

Śmierć nie była sądzona Ojcu Świętemu. Wyszedł bowiem wówczas z fatalnej opresji, co poczytywano ogólnie za cud. Opowiadano w Rzymie, że św. Tereska, do której Pius XI szcze-

gólnie miał nabożeństwo, przywróciła mu siły, tak potrzebne do wykonania całego szeregu rozpoczętych prac.

Artystka, za pośrednictwem naszego ambasadora przy Watykanie, ofiarowała Ojcu Świętemu miniaturę. Widocznie Ojciec Święty był z niej zadowolony, gdyż pokazywał ją biskupom polskim, przebywającym w Rzymie z okazji kanonizacji św. Andrzeja Boboli.

Kardynał Pacelli wprowadził naszą rodaczkę na dwór włoski, otrzymała więc zamówienie na miniaturę portretu następcy tronu — małego Wiktora Emanuela, księcia Neapolu i Marii Pii.

W swoim czasie wykonała Dąbrowska cykl teatralnych miniatur z podobiznami artystów polskich. Warto zaзначyć, że ta uczennica szkoły Gersona, nigdy się nie uczyła techniki potrzebnej do malowania miniatur. W tej dziedzinie jest do pewnego stopnia samoukiem. Krytyka włoska podkreśla, że Dąbrowska staje w jednym szeregu artystów średniowiecza, którzy zdobili rękopisy miniaturami rysunkami, a także jest jakby bratnią duszą owych francuskich i angielskich miniaturzystów XVII, XVIII i XIX wieków, którzy posiadli tajemniczą wiedzę kondensowania na maleńkiej przestrzeni całej gamy subtelnych barw.

el — ce.

CZESŁAW OTRĘBSKI

Judym NASZYCH CZASÓW

(Dokończenie)

Przytoczyłem obszerny wyjątek z książki dra Pesty ponieważ sądzę, że pozwala on w stopniu dostatecznym zorientować się w atmosferze i warunkach pracy lekarza na wsi i to podwarszawskiej. Bez wątpienia wszystko, co autor w swym pamiętniku opowiada, zasługuje na baczną uwagę. Nie pokoi mnie jednak, wcale szerzej nie uargumentowane twierdzenie dra Pesty o konieczności wyniszczenia żeromszczyzny, jako zła społecznego. Nie tylko to uważam, że są autorem opiera się na zbyt jednostronnym i niebezpiecznym uogólnieniu, że w dziedzinie „medycyny społecznej winniśmy już żeromszczyznę pokryć brzemem, bo na to zasłużyła, a jej dalsze propagowanie byłoby przykrym i oczywistym dowodem, że nie spełniła swej roli”.

Oczywiście wypowiadając odmienne zdanie w kwestii wartości i aktualności judymowych idei (chodzi mi ciągle o określenie nie fotograficznej ścisłości Judyma Żeromskiego z postacią współczesnego lekarza a zwłaszcza lekarza społecznego, ale o zaznaczenie tylko różnicy w inponderabiliach tych dwóch pojęć w biegu czasu przy zachowaniu wspólnego pionu moralnego) i przyznając całkowitą słuszność oraz prawdę wynurzeniom dra Pesty odnośnie zjawisk przez niego widzianych uważam że: 1) wbrew usiłowaniu wyzbycia się naśladownictwa Judyma, życie i praca lekarza społecznego w naszych czasach są w swej istocie uaktualnionym, u-nowocześniejonym, przystosowanym do innych warunków życiowych takim samym obrazem z okresu „Ludzi bezdomnych”, 2) idealizm autora „Piasków” nie może być innej, lepszej miary niż takie samo uczucie Judyma albowiem — i o tym pamiętać trzeba przede wszystkim — bohater Żeromskiego to nie pocziwiec, naprawiacz, litościwiec, spełniający obowiązki swego zawodu mimochodem, z nagłego porwy uczuciowego, z sentymentu, słowem z podobudk filantropijnych.

Judym (tak samo jak dr. Pesta) jest człowiekiem z krwi i kości. A choć składa prometeuszową ofiarę, wyrzekając się szczęścia osobistego, nie zna czy to jednak wcale, że nie rozumiał pracy społecznej lekarza. Bo pamiętać trzeba, że dr. Judym to lekarz fabryczny w czasach niewoli gdzie etykieta „społecznika” wystarczała całkowicie do zesłania lub uwięzienia a dr. Pesta jest młodym lekarzem w wolnej Ojczyźnie, rozwijającej się w pełni powagi prawn swoich obywateli.

Judym to na szlakach poszukiwania

nowych dróg i charakterów dla pracy społecznej nie epizod bez znaczenia, ale postać, która ostała się w literaturze na stałe a na kształtowanie się nowych form życia wywarła wpływ poważny. 3) nie usprawiedliwia sądu dra Pesty stwierdzenie, że w kotłowniku zmagani o pogodzenie prawa z życiem, w codziennej pracy wśród ludzi podnieconych chorobą i biedą, w starciach z ubezpieczonymi nie przebiegającymi w środkach walki o niesłuszną uzyskanie uprawnień, lekarz buntuje się a na podłożu tym rodzi się w nim walka o własne prawa socjalne, o ośmiogodzinny dzień pracy. Jeśli dr. Pesta uważa dzisiejszą organizację lecznictwa za ostatni wyraz doskonałości a lekarza, każdego lekarza, za bezwzględnie stojącego na najwyższym, możliwym do osiągnięcia, poziomie przygotowania — to w tym wypadku ma całkowitą słuszność. Ale my wiemy, że niestety u nas jeszcze tak nie jest, a skoro do wymarzonego stanu daleko, musimy zgodzić się z faktem, że gruntowna przebudowa teraźniejszości musi odbywać się z zachowaniem zasadniczego warunku: doskonali się formy pomocy lekarskiej, przy równoczesnym stałym zabieganiu o kulturę mas, o kulturę życia codziennego. I nawet wtedy, w tych lepszych warunkach życia i pracy lekarza i pacjenta mogą i napewno zdarzać się będą incydenty z gatunku opisanych przez dra Pestę, ale nie mogą one mieć żadnego wpływu na charakterystykę problemów czy postaci, które posłużyły za wzór tworzenia doskonalszej rzeczywistości. Odpryski zła nie mogą nigdy zgasić światła dobra, mogą je na chwilę przyćmić i na tym kończy się ich działanie.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa, owa konieczność grzebania żeromszczyzny. Dr. Pesta jest młodym lekarzem i ma obecnie zdaje się lat 30. Pochodzi z Wielkopolski. A choć urodził się w czasach niewoli dojrzał już w słońcu niepodległości państwowej. Może odmienne warunki wychowania w środowisku swoim wpłynęły na to, że twórczość Żeromskiego nie miała takiego wpływu na kształtowanie się jego charakteru i umysłu jak to się działo z nami urodzonymi w zaborze rosyjskim. I w tym być może zamyka się zagadnienie stosunku dra Pesty do żeromszczyzny. Nie zawdzięczał jej nic „nie porywał nas też skądinąd — pisze w pamiętniku — lekarz biedak, idealista, który zdrowie i życie stradał, niosąc darmo pomoc cierpiącemu proletariatu osiedli fabrycznych. Gotowi nawet byliśmy chylić czoła przed przeszłością, ale wiedzieliśmy, że przyszłość taka nie będzie, nie może, nie powinna taką być”.

Czy to nie mięsożerny instynkt życia? Czy tego rodzaju dążenia są idealizmem innej, lepszej miary?

Cokolwiek możnaby jeszcze z okazji „Piasków” powiedzieć, tym mocniej rysuje się prawda Żeromskiego:

„Cześć dla cichych a wielkich w Polsce dusz za wszystko na szerokości ziemskiej starczy. W nich to mieszka ojczyzna. Bywa tu w Polsce zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznana nigdzie na świecie obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać, niesplamiony honor, sam siebie niczem, głodem ducha karmiący w podziemnych lochach nędzy bytu”.

Judym zostanie, wbrew i pomimo usiłowań odbrazowania, typem lekarza społecznika tamtych czasów. Ile z niego weźmie w swą duszę Judym naszych czasów — nie wiadomo. Ale weźmie na pewno, choć się wyrzeka i odżegnuje. To tylko moja, idealizm innej, na krótko stworzonej, miary.

Czesław Otrębski.

Kto
Krem LAKTOLIN
używa,
ten się piegów i plam pozbywa.
Po użyciu piękną i czystą cerę
otrzyma.
Żądać wszędzie.

